

Moskwa, Wołgograd, Krasnodar na Kubaniu, Wybrzeże Czarnomorskie, Gruzja, Irkutsk, Bratsk, Jezioro Bajkał — w sumie około 15 tys. kilometrów — oto trasa podróży naszego wysłannika red. Feliksa Biłosa, który na zaproszenie moskiewskiego dziennika „Sowietskaja Rosija” przebywał w Związku Radzieckim. Dziś rozpoczynamy druk korespondencji napisanych na szlaku jego wędrówek po Kraju Rad.

Feliks Biłos

EPOS HISTORII I DZIEŃ DZISIEJSZY

Z wędrówek po Kraju Rad

Blisko tysiąckilometrową odległość z Moskwy do Wołgogradu „Tu-104” pokonuje w ciągu osiemdziesięciu minut. I oto znajduję się w mieście, leżącym na brzegu wielkiej rzeki, mieście owianym nimbem bohaterstwa, które 20 lat temu było symbolem nadziei i zwycięstwa.

Już pierwsza rozmowa z kierowcą taksówki w drodze z lotniska do śródmieścia, była przeżyciem. Okazało się, że mój rozmówca zna Polskę; przemierzył ją ze swym oddziałem zimą 1945 roku. W toku rozmowy wymieniał nazwy miast, leżących na szlaku wielkiej ofensywy, a wśród nich Bochnię — miasto, opodal którego leży moja wieś rodzinna. Przywiodło mi to na myśl pamiętną noc 18 stycznia 1945, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem żołnierzy odzianych w szare sznele. Byli zmęczeni i głodni. Dzielił się z nimi tym, co pozostało w chacie: czarnym chlebem i mlekiem. Może to ten właśnie mężczyzna był jednym z tamtych? Może to on za ścianą naszego domu chował poległego w boju towarzysza?

Chociaż dzisiejszy Wołgograd jest miastem pięknych domów, zielonych alei i ulic, to przecież co krok spotykasz wieżę czołgu na cokole, z łufą skierowaną na zachód. „Tędy przebiegał przedni skraj obrony” — informuje przechodnia lakoniczny napis. I znowu myśl ulatuje w przeszłość i bezwiednie szukasz śladów tamtych wielkich wydarzeń.

Wśród zieleni młodych drzew i kwiecistych skwerów, wyłania się marmurowy obelisk. U jego podnóża płonie wieczny ogień. Na wielkiej płycie — rzeźbiony wieniec z liści wawrzynu. To na chwałę tym, co padli w dni krwawego żniwa na ulicach i barykadach tego miasta.

Patrzę na migocący płomień znicza, spoglądam ku Woldze, a myśl biegnie ku Wiśle, Warcie i dziesiątkom rzek, przegradzających długą drogę od Wołgi do Berlina. I myślę o moim mieście, gdzie na wzgórzu Cytadeli stoi podobny, choć skromniejszy obelisk.

Spotkanie z Lidią Stiepanowną Plastikową pozostanie na zawsze w mej pamięci. Imię jej zna nie tylko załoga słynnej fabryki traktorów, gdzie Lidia dziś pracuje, nie tylko mieszkańcy Wołgogradu, ale i wszyscy ci, którzy studiują przebieg wielkiej bitwy i interesują się losami jej uczestników. Jest ona bowiem jedną z dziewięciu żyjących osób wołgogradzkiej organizacji komsomolskiej, która w dniach obrony miasta zapisała się złotymi zgłoskami w księdze znanych i nieznanych bohaterów.

Spełniając moją prośbę, zaczęła snuć wspomnienia o poświęceniu wołgogradzkich komsomolców, o kilkunastoletnich sanitariuszkach, wynoszących wśród gradu kul rannych, o ratowaniu tonących rozbitków z lodowatych nurtów Wołgi, o młodocianych zwiadowcach i czołgach, niosących w ofierze ojczyźnie swoje młode życie.

Patrzę na jej szczupłą, jakby zatroskaną twarz, o ujmującym wejściu dużych ciemnych oczu, w których jakby tała się jeszcze groza przeżytych dni.

— Nigdy nie zapomnę — mówi — obrazu martwych ciał dzieci, płynących Wołgą wraz z lodową kłą. Wróg bombardował zaciekle każdą łódź, każdy ponton, usiłując przedostać się na lewy brzeg. A my chcieliśmy za wszelką cenę ewakuować rannych i własne dzieci. Niestety, większość ludzi, których udało się wynieść z pola bitwy, ginęła potem w czasie przeprawy.

Lidia Stiepanowna wymienia swoich towarzyszy lat młodości, któ-

rzy padli w walce na ulicach, spaleni w czołgach, zamordowani w nurtach Wołgi. Opowiada o robotnikach i inżynierach fabryki traktorów, którzy nocą budowali lub remontowali czołgi, by rano wsiadać do maszyn i jechać prosto do ataku.

— W końcu stycznia 1943 r. toczyły się najcięższe boje. Linia frontu przebiegała poprzez zabudowania naszej fabryki. Naszym hasłem było: „ani kroku w tył!” Mimo tragicznej sytuacji czuliśmy, że zbliża się zwycięski koniec bitwy. Kiedy bój uciął wieczorami, przygotowaliśmy sztandar, który 4 lutego, już po kapitulacji sztabu Paulusa, wręczony został na uroczystym wiecu komendantowi miasta przez komsomolca Saszę Kuźniecowa.

Z wysokości kurhanu Mamaja spoglądam na wielkie i piękne miasto, ciągnące się wzdłuż Wołgi na dziesiątki kilometrów. U podnóża — zabudowania fabryki traktorów, obok słynne zakłady metalurgiczne „Krasnyj Oktiabr”. W dali, od strony północno-wschodniej, widać domy młodszej brata Wołgogradu — miasta Wołżskiej, zarysy Elektrowni Wodnej imienia XXII Zjazdu i nowoczesne konstrukcje budującego się chemicznego kombinatu-giganta. To dzień dzisiejszy Wołgogradu, którego mieszkańcy piszą jego nowy, pokojowy epos.



„Matka — ojczyzna bolejąca” — tak nazwano jedną z rzeźb wchodzących w skład kompozycji architektonicznej pomnika, wznieszonego obecnie na słynnym Kurhanie Mamaja. O budowie pomnika i wyrażonej w nim idei artystycznej — w następnej korespondencji.

Fot. „Głos”

Autor poniższego artykułu WŁADYSLAW NAROŻYŃSKI, urodzony w polskiej rodzinie, żyjącej od trzech pokoleń na emigracji w Westfalii (Niemcy zachodnie), wieloletni nauczyciel polskich szkół w Niemczech, b. więzień obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, jest jednym z nielicznych żyjących jeszcze świadków historii wychodźstwa polskiego. Jako b. działacz przy Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Berlinie przy Centrali Związku Polaków w Niemczech doskonale zna problemy związane z szkolnictwem polskim w Niemczech przed 1939 r.

Nauka po polsku była bohaterstwem

SZKOLNICTWO POLSKIE W NIEMCZECH

Zwielką przyjemnością przeczytałem artykuł z dnia 26 września br., napisany przez p. Ludwika Gomolca z okazji 35-lecia o szkolnictwie polskim w Niemczech przed rokiem 1939.

Szkolnictwo polskie w Niemczech — chociaż w różnych formach — obejmowało poza terenami autonomicznymi także Berlin, Łużycę, Bremę, Hamburg oraz Westfalię i Nadrenię, dokoła to przed 80 i więcej laty docierali mieszkańcy Prus Wschodnich, Pomorza i Śląska, przede wszystkim jednak z ziem wielkopolskich, od Zbąszynia, Nowego Tomysła, Opalenicy, Buku, Poznania, Pobiedzisk, Gniezna, Trzemeszna, Mogilna i Inowrocławia, a dalej z Rogoźna, Wągrowca, Szamotuł, Murowanej Gośliny, Środy, Kościana, Śremu, Leszna, Gostynia, Jarocina, Pleszewa, Krotoszyna, Kępna i wszystkich innych, nie wymienionych tu większych i mniejszych miejscowości, szczególnie zaś wiosek wielkopolskich. Przed pierwszą wojną światową i w okresie międzywojennym nie było przecież w Wielkopolsce obywatela, nie posiadającego krewnych w Berlinie czy w zagłębiu Ruhry.

Jeżeli chodzi o ścisłość, to szkolnictwo polskie w Niemczech istniało właściwie tak długo jak samo wychodźstwo. Ze względu jednak na przepisy kaiserowskie było ono zakazane i to nawet w republice weimarskiej, aż do samej chwili wywołania przez polskie do sejmiku pruskiego Jana Baczewskiego ordynacji szkolnej dla mniejszości polskiej w Niemczech, tj. do roku 1928, po czym to dopiero otwierano oficjalnie w Prusach Wschodnich i na Pograniu jedną szkołę polską po drugiej.

Przypominam sobie swój pobyt na terenie byłej Dzielnicy V Związku Polaków w Niemczech. Było to w maju, czerwcu, lipcu i sierpniu 1938 r., kiedy to większość szkół obchodziła swe 10-lecie w uroczystej ciszy. Jubileusz odbywały się niemal w konspiracji, by nie prowokować gotowych do napaści na Polskę Niemców. Wspominało się w szkole i na zebraniach rodzicielskich, jak to 10 lat temu prezes Baczewski z Berlina, pan Rożyński ze Złotowa i emisariusz Augustyn Wagner otwierali — niemal jakby systemem tajemnym — jedną szkołę po drugiej w wąskim pasie polskiego Pogranicza.

Musiały to być szkoły nie byle jakie, skoro nawet ze stron niemieckich władz szkolnych podkreślano w tajnych raportach, że przewyższają pod niejednym względem szkoły niemieckie.

Nie rosząc sobie pretensji do wyczerpującego opisu wszystkich szczegółów tego zagadnienia na ziemiach bliskich Wielkopolsce, uważam jednak za potrzebne przypomnienie kilkunastu sylwetek ludzi zasłużonych dla szkolnictwa polskiego na tych terenach.

Teodor Spiralski z Babimostu, z którym przebywałem w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, był przodującym współorganizatorem szkolnictwa polskiego na Babimojszczyźnie. Jan Cichy z Nowego Kramka, zwany przez Niemców królem polskim, był ofiarnym działaczem społecznym na polu oświaty. Maria Tomaszewska, która przeżyła Ravensbrück, Władysław Sroka i Roman Jaskólski (kol. Sroka przebywał obecnie w Poznaniu), Jadwiga Kapałówna, Henryk Jaroszyk, który obecnie jest posłem na Sejm. Z Dąbrówki pochodził Jan Budych IV, wybitny działacz, który zginął w Sachsenhausen. Dalej nie żyjący dziś również Tomasz Budych, Marcin Bimek, Walenty Berent, Wojciech Borowicz, Jan Flejsierowicz, Wojciech Golek, Antoni Kwaśny, Stanisław Kędziora, Piotr Matysiak i Wincenty Młodystach, Ignacy Paździorek, również osadzeni w Sachsenhausen, Bolesław Jęchorek, który przejął obowiązki kierownika szkoły po odwołaniu przez władze niemieckie nauczyciela Seweryna Kuchty w Starym Kramsku, Bogdan Kowalski, o którym tajemny memoriał niemiecki mówił: „Ein fanatischer Kämpfer für die nationale polnische Sache”. (Fanatyczny bojownik narodowej sprawy polskiej), Józef Grot z Podmokła Wielkiego, który zginął w Gusen-Mauthausen, Stanisław Knak, Franciszek Taberski, który nie doczekał się obchodu 10-lecia swej szkoły, otwartej dopiero 1 września 1928 r. Stanisław Żurawski z Podmokła Małego, Edmund Styp-Rekowski, który zginął w roku 1942 w Gusen-Mauthausen i jego kolega Bronisław Wojnowski. Franciszek Sarnowski, mój najbliższy sąsiad i towarzysz w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, gdzie zginął w kwiecień roku. Z Dąbrówki Wielkiej Sylwester Tomiak, Janina Kowalska i Jan Maza (rozstrzelany).

Dokończenie na str. 2

Poznańscy pisarze

ARKADY FIEDLER

Charakterystyczna sylwetka Arkadego Fiedlera znana jest poznaniakom doskonale. Wysoki, szczupły, długonogi, ruchliwy, niezwykle żywe, jasne oczy, ubiór z daleka wyróżniający go z ulicznego tłumu, zimną czarną beret, żółta „budrysówka”, latem marynarka — wdzianko ze sztruksu bądź zamoszowa kurtka. Przez ramię przewieszona nieodłączna skórzana torba. Z zasady nie nosi krawatu ani cienkich koszul, lecz miękkie i kolorowe koszule flanelowe. Widać od razu, iż ten człowiek nie dba o modę, idzie mu o to, by być ubranym wygodnie i praktycznie. Właściwie na pierwszy rzut oka można by powiedzieć, że to podróżnik.

Bo też jest podróżnikiem z zamiłowaniem i to takim, jakim mało nie tylko w naszym kraju. Właściwie całe swoje dorosłe życie poświęcił podróżom i badaniu przyrody oraz folkloru krajów tropikalnych. Najpierw czynił to jako przyrodnik zbierający okazy fauny dla polskich muzeów zoologicznych, potem zaś jako przyrodnik-literat. Jeśli prawdą jest, iż przykład rodziców bardzo

oddziaływał na dzieci, w przypadku Fiedlera prawda potwierdza się w całej rozciągłości. To ojciec nauczył młodego Arkadego kochać motyle, których tak piękną kolekcję ofiarował pisarz tego roku poznańskim szkołom. Kolekcja jest rezultatem ostatniej podróży pisarza do Gujany Brytyjskiej. Ojciec był sam świetnym znawcą przyrody i często zabierał Arkadego na wycieczki w lasy puszczykowskie i rogalińskie. Był znanym poznańskim poligrafikiem, wydawcą i miłośnikiem sztuki. Wszystkie te zamiłowania (wraz z zakładem chemigraficznym) odziedziczył po nim Arkady.

Ukończył w Poznaniu Wyższą Szkołę Realną im. Bergera, potem studiował polonistykę w Krakowie (przerwana wojna), później zaś w Poznaniu, na utworzonym świeżo uniwersytecie. Było to więc po I wojnie światowej, polonistyką przepłatana już była wtedy słuchaniem wykładów z zoologii. Ale nim to nastąpiło zdażył Fiedler przejąć po śmierci ojca zakład chemigraficzny, przywieźć dyplom z Akademii Graficznej w Lipsku (po dwuletnich stu-

diach) oraz nowoczesne urządzenia chemigrafii z tegoż miasta, zdążył posłużyć w wojsku polskim i wziąć udział w Powstaniu Wielkopolskim. Próbował także w tym czasie... rzeźbić.

I, co nas najwięcej interesuje, rozpoczął podróże. Pierwszą dalszą eskapadę odbył z gronem przyjaciół łódkami po Dniestrze, której rezultatem było sprawozdanie wydane w 1925 roku pt. „Przez wiry i porohy Dniestru”. Pisarz bynajmniej się tej książeczki nie wstydził, choć wówczas nie miał jeszcze ambicji literackich i rzecz jest rzeczywiście tylko sprawozdaniem. Tak się jednak zaczęła Fiedlera przygoda z egzotyką i literaturą. Potem pojechał na myśliwską wycieczkę do Norwegii, z której pisanej relacji nie było. Natomiast bakcyj podróży zagnieździł się już u Fiedlera trwał.

Zakład chemigraficzny prosperował doskonale, można było coś niecoś odłożyć. Jednakże, ku zdumieniu poznańskich ludzi interesu, ten „lekkoduch” zgromadzone wtedy duże jak na one czasy pieniądze, miał przeznaczyć na budowę willi na Sołaczku, postanowił wydać na podróż do Brazylii. Trwonił pieniądze na „mrzonki”, powiadano, i pukano się w czoło. Więc pojechał Fiedler na

pierwszą swą podróż planowo zorganizowaną z zamiarem przywiezienia okazów fauny poznańskiemu Muzeum Przyrodniczemu. Przywiózł też stamtąd ok. 1500 ptaków, ssaków i gadów i ok. 10 000 owadów, głównie motyli. Po paru latach nastąpiła druga podróż do Ameryki Południowej. Znad Amazonki i Ukajali pisze felietony po 20 zł dla „Dziennika Poznańskiego”, potem po 50 zł dla „Gazety Polskiej” w Warszawie, która zresztą wkrótce podwyższy honorarium na 300 zł od sztuki, gdy zorientuje się w tym, jakie złote jaja znosi jej ta kura. Bowiem ogłoszenia na stronie, na której drukuje się felieton Fiedlera kosztują 50 procent drożej niż na innych. Zaczyna się sława.

Brazyliia południowa to był rok 1928—1929. Dalej wyprawy sygnalizują z roku obfitości. Amazonka i wschodnie Peru (1933—1934) dla zebrania okazów dla Muzeum Zoologicznego w Warszawie, Kanada (1935) w tym samym celu, Madagaskar (1937—1938), Tahiti (1939) gdzie zastaje go wojna, Francja, Wielka Brytania i wojsko polskie w 1940, USA, Trynidad, Gujana. Brazyliia w 1942—1943, powtórnie Kanada w

Dokończenie na str. 2

Królewska para

Dlaczego mnie zbili, tatusiu, za co, przecież nic im nie zrobiłem? — dopytywał się natarczywie, gdy go niosłem z przedszkola do domu, tak go skopali, że nie mógł iść.

Nie rozumiałby, gdybym powiedział, że jest to nienawista ślady, która każe szarym, wiskawym ćwierkającym wróbiom zadziobywać na śmierć zabłąkanego wśród nich kolorowego i pięknego śpiewającego ptaka.

Jaga wejrzała pytająco na Henryka.

— Nie wolno się wyróżniać — dodał dla wyjaśnienia.

Siedzieli w samym narożniku sali, ukryci za kolumną grubą i żółtą jak pień starego dębu, odartego z kory. W sarnich oczach Jagi widział odbicie wielkich balkonowych okien o romańskich łukach, wsunął lewą dłoń pod jej długie, czarne włosy, opadające prosto na plecy i zastanawiając policzek, w półmroku błysnął cygański kolczyk, złote kółko, tylko jedno nosi, w prawym uchu, delikatnie położył ją po twarzy, a kiedy dotknął ciemnego pusku nad wypukłymi, miękkimi ustami Jagi — rozchyliła warci, lekko przytrzymała zębami jego palec.

— Kiedy to pieczę się paczki? Przed szkołą urządziło zabawę kostiumową dla dzieci. Żona moja często ma za jej popołudnia, więc ja poszedłem wedy po Marka. Leżał na tapczanie w góbinie kierowniczkich. Wśród paczków znajdowały się dwa, jeden w porcji dla dziewczynki, drugi w przeznaczonych dla chłopców, gdzie ukryte były pierścienki: kto trafi na nie — zostanie królową i królem baliku. Koron otrzymali w wyniku tego losowania Marek i jedna z dziewczynki, brzydula w drucianych okularach, nie prawie już nie widząca.

Wychowawczynie musiały na chwilę wyjść do kuchni po brakujące paczki. Gdy zamknęła drzwi za sobą, natychmiast wszyscy rzucili się na Marka i zaczęli go kopać, nikt z dzieci nawet nie zawołał, żeby go bić, był to odruch żywiołowej nienawiści, jaka ludzie czują do człowieka, któremu udaje się osiągnąć coś, o czym oni ciągle, lecz bezskutecznie marzą, tak zazdrośnie odzwajemniają miłości, wielkiej wygranej pieniężnej, czy po prostu wiedzy lub talentu, nie trzeba żadnych hańs ani prowodyrów, jest to powszechny i jednoczący gniew zbiorowości wobec osobników czymś ja przerastających, spryszenie mierności niszczące każdą indywidualność...

— Uskokój się! — położyła dłoń na rękę Henryka, nerwowo wystukująca rytm słów.

— Więc co, trzeba ukradkiem schować szczęśliwy los do kieszeni, żeby nikt niczego nie zauważył, nawet ten, kto znalazł drugi pierścień i rozejść się z obojętnymi minami! — zmrużył syzygoc powieki, żeby ukryć nieoczekiwany ból, jaki narastał w nim, gdzieś od wnętrza po gardło i oczodoły, gdy wypowiadał to zdanie.

— Nie, nałożmy nasze korony! — odrzekła.

Wstali. Trzymając się za ręce szli powoli przez sam środek największej w tym mieście kawiarni, wśród głów pochylających się nad stolikami w plotkarskim, świszczącym szepcie...

Dokończenie ze str. 1

Bolesław Lewandowski i Wojciech Gromadecki ze Starego Kramka.

Wszystkie tereny autochtoniczne, na których znajdowały się szkoły polskie lub jakiekolwiek inne formy polskiego życia społecznego, Niemcy nazywali „Eiterbeulen am Körper des deutschen Volkes” (wrzody ropiejące na ciele narodu niemieckiego). Na podobne tematy osnuły ulotki rozrzucały wśród ludności polskiej, podczas gdy „Reichswehr” dokonywała taktycznych przegrupowań, możliwie nocą, w dzień odpoczywając w stodółach i lasach, maskując się mistrzowsko.

W cieniu takich i podobnych sytuacji czaili się obozy koncentracyjne, najbliższe w Słońsku (Sonnenberg) i Hammerstein (Kowary), gdzie przebywał m. in. sławny wróg faszyzmu Karol Ossietzki. Później doszedł dla mężczyzn obóz w Sachsenhausen, a dla kobiet w Ravensbrück, 50 km na północ od Sachsenhausen.

W Złotowie przed urzędem rady miejskiej i policji rozplakatowano ogłoszenie: **Bekanntmachung: Die Pollacken Kostenek und Funk und der Oberhetzer Mozolewski — raus!!! Wer von diesen Hetzern nicht verwindet, kann was erleben!!! Also raus!!!** (Obwieszczenie: Polaczki Kostenek i Funk oraz główny pod-

ARKADY FIEDLER

Dokończenie ze str. 1

1945, Meksyk w 1948, ZSRR (w tym specjalnie Gruzja) w 1952—1953, Indochiny (Wietnam Północny, Laos, Kambodża) w 1956—1957, Afryka (Gwinea—Ghana) w 1959—1960, znów Kanada w 1961, no i ostatnia — na razie — podróż do Gujany Brytyjskiej i Brazylii na przełomie 1963 i 1964 roku. Uff, było tego, co?

No i prawie z każdej, rzecz jasna, książka; czasem więcej niż jedna. Po drugiej podróży do Ameryki Południowej przestał się już Fiedler bawić w chemię, okazało się, że może już utrzymywać się z pisania. Więc wymienił tylko te pierwsze jego książki, które rozpoczęły jego karierę pisarską i zdobyły mu nieograniczony kredyt zaufania u czytelników, kredyt — dodajmy — którego nigdy nie zawiódł. W 1931 „Bichos, moi brazylijscy przyjaciele”, w 1932 „Wśród Indian Koroadów”, w 1936 „Ryby śpiewają w Ukałali”, w 1936 „Kanada pachnąca ży-

NAUKA PO POLSKU BYŁA BOHATERSTWEM

żegacz Mozolewski — precz!!! Kto z tych podżegaczy się nie ulotni, może się czegoś doczekać! A więc wynocha!!!

Na Pomorzu Zachodnim organizowało i walczyło o szkolnictwo polskie po kolei trzech nauczycieli wędrownych: Maksymilian Golsz, Aleksander Omieczynski i Franciszek Juika, niosąc okrucieństwa dzieciom pięćdziesiątysięcznej rzeszy robotników rolnych. Wszyscy trzej zginęli pod toporami katów hitlerowskich. Hitlerowcy nie zapomnieli im drużyn harcerskich w Szczecinie, szkoły polskiej przy Wollwebergasse, noszącej dziś znów polską nazwę ulicy Tkackiej, tamtejszej świetlicy z chórem i domu polskiego na Łasztowni. Drogo zapłacili za „jatrzący się wród w „praniemieckim” Szczecinie”.

Nie tylko w Szczecinie znajdowała się polska szkoła, jak pieszczotliwie nazywano kursy języka polskiego na terenie Niemiec. Znajdowały się również w Berlinie, Bremie, Hamburgu, w Zagłębiu Ruhry, razem przeszło 100. Na tych kursach uczyli

nie tylko nauczyciele kwalifikowani. Z gorliwą pomocą przychodzili społecznicy, studenci i absolwenci krótkich kursów nauczycielskich. W Berlinie uczyli pod troskliwą opieką kolegi Maksymiliana Golsza wszyscy studenci, mieszkający w bursie przy Martin-Luther-Strasse, m. in. mieszkający dziś w Poznaniu kol. Ludomir Kapczyński (pracownik „Głosu Wielkopolskiego” — dop. red.).

Po otwarciu pierwszego Polskiego Gimnazjum w Bytomiu, rozpoczęto starania o drugie na terenie Prus Wschodnich i o gimnazjum dla dziewcząt polskich z Niemiec w Raciborzu. Mimo, że architekt Fehner z Olsztyna, pochodzący z kolonistów z Bambergu osiedlonych pod Poznaniem, z zapalem, ba z prawdziwą pasją, zajął się budową szkoły, mimo że często sam usuwał różnego rodzaju piętrowe się trudności, nie czekając na interwencję Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Berlinie, Niemcy rzucali niespodziewane kłody pod nogi inwestorom i wykonawcom i trzeba było dopiero zamknąć jedno z licznych

gimnazjów niemieckich w Polsce i przeszkodzić w budowie drugiego planowanego na kształt swastyki, by w Kwidzynie szkoła nareszcie stanęła. Nie udało się, niestety, tego w podobny sposób załatwić w Raciborzu, którego narybek chował się pod troskliwą opieką pani dyrektor Godzińskiej w Tarnowskich Górach. Racibórz, niestety, nie posiadał takiego architekta, jakim był Fehner z Olsztyna. Po ambitnych planach raciborskich pozostały tylko ruiny, jakie przejęła w dziedzictwie Polska Ludowa.

Dnia 1 września przestały istnieć wszystkie szkoły polskie w Niemczech, wszystkie kursy języka polskiego, wszystkie komplety młodzieżowe. Przestały wychodzić wszystkie gazety polskie, spalono polskie biblioteki, sztandary i sprzęt polskich organizacji. Dorobek redaktora Pienniężnego w Olsztynie spalono, zburzony plac nazwano „Placem Hańby” i zbudowano na nim szalet publiczny. Czcionki wydawnictwa „Narodu” wrzucono do pobliskiego kanału, by — jak hitlerowcy sądzili — w obrebie III Rzeszy nie było żadnych śladów polskich liter, a co dopiero prasy polskiej czy literatury.

Około 3000 pracowników społecznych, funkcjonariuszy polskich organizacji, członków zarządów polskich towarzystw, dyrygentów, redaktorów, kolporterów, zecerów, uczniów i nauczycieli — aresztowało gestapo, umieszczając ich w obozach koncentracyjnych w Sachsenhausen, Ravensbrück, Gusen-Mauthausen, Flossenbürg, Dachau itd. Po zakończeniu wojny doszło w Herne do zwolnienia wszystkich, którzy przetrwali, na zjazd byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Znalazło się tylko 112 żyjących.

Kto przeżył, włączył się w szeregi budowniczych nowego życia. Załowad tylko należy, że nie wszyscy Polacy z Niemiec doczekali się wolności w granicach Polski, obejmującej ziemię upragnioną na zachodzie i północy.

WŁADYSŁAW NAROŻYŃSKI

nauczyciel Liceum Pedagogicznego w Myśliborzu woj. szczecińskiego

MIECZYSLAW SKĄPSKI

o tym się mniej pamięta. A przecież praca w zabójczym dla zdrowia Europejskiej klimacie to nie fraszka. A relacje z tych podróży też łatwo nie przychodzi. Fiedler zaś pracuje sumiennie, z uporem, swoje książki przygotowuje bardzo pieczołowicie, do każdego niemal wznawienia czy tłumaczenia dokonuje poważnych zmian. Stworzył dużo, nie tylko serie pięknych książek, którymi zachwyca się młodzież od lat 10 do 100, stworzył ponadto swój własny, specyficzny gatunek reportażu podróżniczego, którym dziś włada z nieodłączoną precyzją.

Obecnie pisze nową książkę, płon tegorocznej podróży do Gujany Brytyjskiej, a już przygotowuje nową podróż, tym razem ponownie na wyspę lemurów — Madagaskar, skąd zamierza przywieźć relację o młodej republice malgaskiej i... krokodylach. Życzymy pomyślności popularnemu pisarzowi w tym przedsięwzięciu, jak i zdrowia, które oby dalej tak doskonale i zaskakująco służyło jak dotychczas.

Eugeniusz Pauksza

W witrynie „Czytelnika”...

Uroczą, choć bardzo smutną zarazem książką. Myślę o „Czasie mego serca” Wandy Przybylskiej. Jest to pamiętnik czternastoletniej dziewczynki, prowadzony od lipca 1942 do końca sierpnia 1944, autorka zginęła w czasie Powstania Warszawskiego. Jakaś szczerość, liryzm obok oschłości czerpanej z zewnątrz, smutek, świadomość obecnej dokola śmierci i wiele jednocześnie nadziei. Chyba nie ma i nie będzie okrutniejszego świadectwa wojny i tamtego czasu niż te nieomal dziecięce notatki. „Czas mego serca” koniecznie trzeba przeczytać.

Andrzej Braun w „Zdobyciu nieba” sięgnął po temat sam już w sobie pasjonujący. Tybet i Chiny, starcie dwóch systemów, postaw, dwóch epok. Wielkie społeczne idee i gorzkie, dramatyczne konflikty wewnętrz-

ne ludzi w imię tych idei dokonujących czy orzekających pewne konieczności, burzące ich sumienie. A przy tym jakaś wielka panoramizacja scenerii, mimo realiów i ponadczasowość ukazanych problemów, nieledwie swoisty traktat filozoficzno-moralny. Trudny temat, jak i imponujący zakres wiedzy Brauna, wyniesiony z pobytu na Dalekim Wschodzie. Mocna to powieść, tu i tam na pewno dyskusyjna, zmuszająca do przemyśleń.

A teraz powieść ekspoznaniaka **Włodzimierza Odojewskiego**, pisarza o bardzo silnie zarysowanej indywidualności twórczej, ambitego i upartej. „Wyspa ocalenia” to raz jeszcze przepracowany generalnie utwór sprzed lat kilkunastu, wtedy publikowany jedynie w odcinku radiowym. Czas okupacji, bohater w wieku tzw. dojrzewania, a wokół spieczętych konfliktów tamtego czasu, przed którymi nie ma ucieczki. Teren Rzeszowszczyzny z rozpełnianymi do białej gorączki wąziami narodowościowymi, dramaty postaw i sumień. Moralistyka dużej klasy, krzywa filozofii, swoista, nie-

łatwa stylizacja, żarliwość pisarskiego zaangażowania w ukazujący problem, to cechy tej nieszablonej, ambitej powieści.

Zwolenników problematyki psychologiczno-obyczajowej zainteresują dwa studia portretowe, tak bym to określił, **Andrzeja Kijowskiego**, zawarte w tomie „Pseudonimy”. Są to dwa opowiadania, sięgające korzeniami w problematykę okupacyjną, ale dziejące się współcześnie, ukazane na tle nader ciekawie zarysowanych wydarzeń. Kijowskiego cechuje zwarłość wypowiedzi, oszczędna stylizacja, mocny rysunek charakterów, nie mówiąc już o wachlarzu problemów psychologicznych.

Krąg zagadnień psychologicznych interesuje również **Aleksandra Baumgardena** w jego nowej powieści „Brzeźni ciemności”, osadzonej w doskonałe oddane atmosfery górniczej. To ta powieść stała się kanwą filmu „Pieci”. Baumgarten ta książka objawia w swej twórczości coś nowego: kto wie, może wyrasta nowy bard śląski?

Anna Kowalska prezentuje nowy

tomik opowiadań pt. „Płaszni”, właściwie, jak zawsze u tej autorki, bardziej impresyjek, niż zwarłych utworów, ale impresyjek bez reszły nasyconych treści. Wywodzi się z pozorów z drobnych, błahych obserwacji, i dopiero sondaż pisarki ujawnia ich znacznie szerszą, głęboką treść.

I na zakończenie tom **Tadeusza Zimeckiego**, po granicze reportażu i beletrystyki, opowieść „Niemaszchleba”, dzieje wsi na pograniczu zachodnim, gospodarzonej przez osadników wojskowych. Temat trapiący, worywanie się w nową ziemię tych, którzy o nią niedawno walczyli. Ale tamten heroiczny okres już poza nimi, a przed sobą mają szarą, trudną codzienność, konflikty i dramaty, okrucieństwa, o które ciężko trzeba wojować. A przeszłość tylko niekiedy jawi się wrotnym odbiciem, nagłym wrznięciem wpływa na tok bieżących dni. Książka Zimeckiego to zarazem jakby i pisarski dokument czasu.

Z książką na ty

Przeglądamy Prasę

Czasopisma poświęcają wiele uwagi ważkim wydarzeniom międzynarodowym poprzedniego tygodnia. „Polityka” zamieszcza odnośny w sprawie zmian na kierowniczych stanowiskach partyjnych i państwowych w ZSRR, drukuje fragmenty komentarzy na temat pierwszej eksplozji atomowej w Chinach Ludowych, publikuje artykuł **Gustawa Goffesmana** „Trudny mandat” o zwycięstwie w wyborach angielskich labourystów.

DRUGI ROZWOJU MONGOLII

Ten sam tygodnik przynosi artykuł **Zbigniewa Soluby** („Kraj wczoraj i jutro”) w związku z wizytą delegacji partyjno-rządowej Mongolskiej Republiki Ludowej. Pisząc o rozwoju gospodarczym tego kraju, autor stwierdza:

„Jest już dziś niewątpliwie, że tereny Mongolii bogate są szczególnie w zasoby fluorynu, które równie są czerwatej części Afryki i Europy zachodniej łącznie. Nad ich dokładnym zbadaniem i zagospodarowaniem pracować będą, zgodnie z propozycją Mongolii, zainteresowane kraje członkowskie RWPG”.

Autor cytuje wypowiedź Przewodniczącego Państwowej Komisji Planowania MRL na temat kierunków rozwoju gospodarki mongolskiej:

„Rozwój opierającego się na rolnictwie przemysłu przetwórczego — to jeden z głównych kierunków

uprzemysłowienia Mongolii. Kraj nasz mógłby też wybrać inną drogę — rozwijać powiadymy, przemysł ciężki, zwłaszcza że ziemia nasza posiada bogate złoża kopalin. Ale nasz punkt widzenia jest następujący: załóżmy, że kraj nasz skieruje wszystkie siły na budowę przedsiębiorstw przemysłu hutniczego i maszynowego. Budowa takich obiektów pochłonie wszystkie zasoby materialne i rezerwy ludzkie, zahamuje rozwój tych gałęzi, dla których w chwili obecnej (jak np. dla przemysłu przetwórczego) istnieją już najkorzystniejsze warunki i które dają największy efekt gospodarczy”.

JAK ZAKTYWIZOWAĆ ŁAŃNIKÓW!

Mówiąc o działalności ławników ludowych w naszym sądownictwie często krytykujemy ich za bierność w rozprawach, absencję i nieznajomość przedmiotu spraw. Ławnicy biorą bowiem udział w rozprawach doraźnie, przeciętnie raz w miesiącu (w roku nie więcej niż 12 razy), nie mają czasu na zapoznanie się ze sprawami. To jest główne źródło ich bierności przy rozpoznawaniu spraw. **Zygmunt Najgebauer** zgłasza w związku z tym na łamach „Prawa i Życia” (artykuł „Ławnicy — skutek czy metoda?”) propozycję, by zmienić dotychczasową praktykę i powoływać ławników do wykonywania ich obowiązków w sądach na określone dłuższe okresy czasu (dwa razy po 6 dni każdy, względnie np. czterokrotnie w ciągu roku) w granicach 12-dniowego udziału w ciągu roku. Daby to wielokrotnie korzyści:

„Ławnik — pisze autor — oddałby się w pełni pracy w sądzie, odterwając od trosk i problemów swego zakładu pracy. Przychodziłby do sądu codziennie jak uprzednio do zakładu pracy, a więc odpadłaby ewentualność spóźnień, nieobecności itp. Miałby czas na zapoznanie się ze sprawą, na przestudiowa-

nie przepisów prawnych, na rozmowę informacyjną z sędzią i przeanalizowanie zagadnień, które będą przedmiotem rozpoznawania na rozprawie z jego udziałem”.

ONA — DOM — PRACA

Jedna trzecia ogółu zatrudnionych w Polsce (poza rolnictwem) — to kobiety, które obok obowiązków w biurze czy fabryce mają obowiązki w domu. Często trudno im pogodzić te dwie role. Dzieje się tak nie tylko u nas, bo aktywizacja zawodowa kobiet jest dziś masowym, społecznym zjawiskiem, występującym we wszystkich cywilizowanych krajach i to niezależnie od ich standardu życiowego.

„Sedno sprawy tkwi w tym — pisze na łamach „Tygodnika Demokratycznego” Tomasz Jarzębowski — że zjawisko masowej pracy kobiet wyprzedziło i to znacznie — towarzyszące mu społeczne procesy przystosowawcze. Chodzi o to, że panujący u nas układ stosunków społecznych, jak również tradycyjny układ stosunków rodzinnych nie uległy niezbędnym przeobrażeniom, warunkującym bezkonfliktowe zatrudnienie kobiet w pracy poza domem, bezkonfliktowe zarówno w sferze publicznej jak prywatnej na gruncie rodziny”.

Autor zwraca w szczególności uwagę, że za mało czyni się dla umożliwienia kobietom korzystania z zatrudnienia na ryzykaltach godzinowych i na półetatatach, co jest przecież wyłącznie sprawą umiejętności podziału pracy w przedsiębiorstwach. Powinniśmy więcej uwagi przykładać do sprawy wygospodarowania i adaptowania niewykorzystanych lub nie w pełni wykorzystywanych obiektów komunalnych na urządzenia socjalne, np. żłobki, przedszkola, stołówki. Trudności łączenia pracy zawodowej z zajęciami domowymi mogą w poważnym stopniu rozwiązać, a w każdym razie złagodzić dobrze zorganizowane usługi (zmechanizowany

sprzęt gospodarczy, gotowe do spożycia produkty żywnościowe, pralnie publiczne itp.) pod warunkiem, że będą to usługi tanie, dobrej jakości i łatwo dostępne. Pozostaje ponadto problem szerokiej popularyzacji nowoczesnego modelu rodziny, w której małżonkowie mają równe prawa i równe obowiązki domowe.

NIEDOMAGANIA ZIELONEGO RYNKU

„Życie Gospodarcze” konsekwentnie publikuje cykl artykułów na ten temat. Wbieżającym wydaniu Edward Budzich omawia sprawę eksportu pod kreślając, że znaczny rozwój eksportu owoców i warzyw — to interes zarówno produkcji ośrodkowej jak i zeopatrzenia rynku krajowego. Zapewniłoby to bowiem rozładowanie ewentualnych nadwyżek, a ponadto przyczyniłoby się do poprawy jakości (to najważniejszy obecnie mankament) owoców i warzyw.

GRATULUJEMY LAUREATOM

„Głos Nauczycielski” ogłosił wyniki konkursu pt. „XX lat Polski Ludowej we wspomnieniach nauczycieli”. Nadesłano 217 prac. I nagrodę (10 000 zł) przyznano **Adamowi Zakowi z Przemysła**. Wśród laureatów pozostałych nagród znaleźli się także przedstawiciele Wielkopolski. Jedną z trzech trzecich nagród (5 000 zł) otrzymał **Edward Góra z Jarocina**, jedną z dwunastu czwartych nagród (3 000 zł) — **Marian Niedziński z Krzycka Wielkiego** powiat Leszno, a wśród 20 laureatów wyróżnień (1 000 zł) znaleźli się **Andrzej Wachowiak z Pili** i **Kazimierz Fedek ze Srody**.

„Tygodnik Kulturalny” rozstrzygnął konkurs „Moja wieś podczas okupacji”. Pierwszej nagrody nie przyznano. Wśród laureatów IV nagrody znajduję się **Bronisław Janik z Poznania**.